Wreszcie nadszedł ten dzień – Passo Stelvio. O samej przełęczy można napisać doktorat, o wyścigach które nią jechały drugi, poza tym nasz „Direttore” Daniel szeroko opisał tę górę podczas wcześniejszych swoich wypraw. Dlatego ograniczę się do suchych faktów i tego co doświadczyła nasza piątka.

Od Prato prowadzi droga o długości 24,3 kilometra przy średnim nachyleniu 7,4 procent, zawierająca 48 ponumerowanych zakrętów. Daje to rzadko spotykane na innych alpejskich drogach przewyższenie trasy wynoszące ponad 1800 metrów. Na to czekaliśmy!

Z Corony wyruszyliśmy w pełnym składzie, aby ok. 30 km przed Prato rozdzielić się na dwie drużyny. Tego dnia Tomek czuł się fatalnie i nie było mowy o zdobywaniu gór więc przypadło mu w udziale pilnowanie auta. Wielka szkoda bo nasze wspólne komentarze etapów coraz bardziej mi się podobały, no i drużyna straciła jeden „motor”. Natomiast nasz „Direttore” Daniel wraz z Darkiem mieli podążać ku szczytom, których jeszcze nie widzieli. Po pożegnaniu i ustaleniu taktyki, nasza piątka ruszyła zmierzyć się z Stilfser Joch

Z Prato ruszyliśmy po 13ej więc nie mieliśmy zbytniego zapasu czasowego. Ja z Romkiem ruszyliśmy w pierwszej parze by zrobić jeszcze „przerwę techniczną” w dogodnym miejscu i wtedy połączyć się z Adamem, Danielem „Duo” i Rafałem.

Na ten dzień i tę wspinaczkę czekałem od dawna i po cierpieniach poprzedniego dnia na Passo Rombo nie został już nawet ślad. To był mój dzień, czułem się wyśmienicie fizycznie i psychicznie. Tak samo mój kompan Romek więc ruszyliśmy w wyśmienitych humorach pod górę. Mimo przerwy chłopaki nie dojechali do nas więc postanowiliśmy kontynuować jazdę swoim tempem. Ruszyłem ostro do przodu i dość szybko zorientowałem się, że jestem sam. Bardzo się zdziwiłem bo Romek nie jest z tych co odpadają, ale postanowiłem kontynuować jazdę. Pogoda była super, świeciło słońce, ok. 20 stopni ciepła więc idealne warunki. Mocno jechałem do przodu kierując się ku Stelvio – no właśnie zamiast na Passo Stelvio to na 7-mym kilometrze skręciłem do miejscowości Stelvio. Droga się skończyła i dopiero wtedy zorientowałem się, że pomyliłem prostą drogę – a jednak można! Szybka orientacja mapy i powrót na właściwy szlak. Przez moją pomyłkę dołożyłem 5km drogi i trochę przewyższeń do naszej trasy, no i z lidera spadłem do grupetto Nic jednak nie było w stanie popsuć mi humoru tego dnia. Czekała mnie piękna wspinaczka, 48 agrafek i to ja stałem się teraz myśliwym. Zacząłem gonić chłopaków. To była zupełnie inna jazda niż męczarnie z dnia poprzedniego, gdzie chyba już na trzecim kilometrze puściłem grupę i trzepałem w swoim powolnym tempie – musiał być to dzień przesilenia i aklimatyzacji w górach bo dziś szło wspaniale.

Wiedziałem, że przewaga moich kompanów jest duża, ale nie traciłem nadziei. Dodatkowo po drodze mijałem wielu Polaków z rajdu Złombola, z którymi witaliśmy się i pozdrawialiśmy więc motywacji nie straciłem ani na chwilę. Ideą rajdu było zebranie kasy dla potrzebujących dzieci i przejazd z Polski „złomem” więc mijałem stare Polonezy, Maluchy, Duże Fiaty, ale nie zabrakło też milicyjnych Nysek i strażackich Żuków Na około 25 kilometrze w końcu zobaczyłem znajomą twarz – a właściwie plecy Rafała i chwilę potem Daniela „Duo”, który stał oparty o skalna ścianę. Zapewnił nas, że możemy jechać dalej i spotykamy się na górze. Ruszyliśmy więc wspólnie najtrudniejszym odcinkiem trasy. Agrafki były już coraz krótsze, a % wzniesienia coraz wyższy. Pogoda też się zmieniła, było chłodniej i trochę mgliście. Na ostatnich 500 metrów w poziomie do szczytu zaczęliśmy z Rafałem kolarską zabawę i wzajemne „czarowanie” przed finiszem To mnie pierwszemu puściły nerwy i skoczyłem do góry, ale dzięki tej akcji zająłem trzecie miejsce na pudle za zwycięskim Romkiem i drugim tego dnia Adamem.

Na szczycie obowiązkowe espresso, ciastko i zdjęcie pod tablicą Pozostało pytanie co dalej – czy i w jakim składzie zjeżdżamy na stronę szwajcarską, żeby zaliczyć Stelvio z dwóch stron podczas jednej jazdy. Szybka decyzja i wraz z Adamem i Romkiem pomknęliśmy do krainy Świstaków i Milki. Rafał z Danielem podjęli decyzję o powrocie.

Szwajcarska strona Stelvio to zupełnie inny świat niż włoska. Dużo więcej zieleni, praktycznie całkowity brak aut no i dużo większa stromizna zjazdu. W tym momencie już wiedziałem, że powrót będzie bolesny. Ponieważ nie jestem tak dobrym zjazdowcem jak Romano i Adam więc po ponad 16-tu km zjazdu do Santa Maria val Mustair wpadłem jako ostatni z naszej trójki. Pogoda jednak tego dnia nas rozpieszczała i świeciło piękne słońce. Szybko więc zrzuciliśmy ciepłe ciuchy, które założyliśmy na górze, kilka pamiątkowych fotek i do góry, bo czas gonił.

Szwajcarski podjazd z Santa Maria do Umbrail, czyli granicy szwajcarsko-włoskiej, gdzie krzyżuje się droga z Bormio, to ponad 13 km wspinaczki i ok. 1200 m przewyższenia – z tego punktu jeszcze ok. 4 km na przełęcz do upragnionego zjazdu. Szybko okazało się kto tego dnia najlepiej rozłożył siły i zdobędzie tytuł najlepszego wspinacza. Jakieś 3 kilometry wystarczyły by Romano zaczął oddalić się ode mnie i Adama. Trzeci kilometr to najcięższy moment podjazdu i ponad 10% stromizny, do czubka każdy kilometr to ok. 8%. Brak kompaktowej korby okazał się fatalny w skutkach i po kolejnych kilkuset metrach zacząłem oglądać znikające plecy Adama. Ciężką jazdę wynagradzały piękne widoki, a dodatkową motywacją do wspinaczki była wizja braku „wozu technicznego” bo wszyscy byli w trasie. Romano całkiem zniknął mi z radaru, ale Adamo był w zasięgu wzroku, więc gdy ok. 9 km od startu w Santa Maria zatrzymał się i zakładał cieplejsze ubranie, wykorzystałem moment i wyprzedziłem go! Przydała się umiejętność zakładania kurtki w trakcie jazdy. Adamo dopadł mnie na wysokości Umbrail i ruszył dalej do przodu. Jednak zorientował się, że ja jadę już na „ostatnich nogach” i solidarnie poczekał by dopingować mnie bez przerwy na ostatnich 3 km w górę. Wielkie dzięki Adam! Kilometr przed szczytem, na parkingu spotkaliśmy naszych „przyjaciół” w liczbie kilkuset aut ze Złombola, którzy mieli tam spędzić noc i w szampańskich humorach zaczęli aktywnie dopingować naszą dwójkę. Gdy zorientowali się, że dopingują „swoich” to mieliśmy towarzystwo już do samego szczytu – jak na prawdziwym Giro!

Na górze czekał już na nas zwycięski tego dnia Romano. Ponieważ jazda z Santa Maria zajęła nam ok. 2 godzin i było już blisko 18-tej, więc bez zbędnej zwłoki założyliśmy cieplejsze ubrania i rozpoczęliśmy zjazd. Chłopaki szybko mnie wyprzedzili i uciekli, ale ten zjazd wyjątkowo dobrze mi się jechało więc „tylko” jakieś 15 minut później byłem na dole, gdzie Daniel z Rafałem byli już po obiedzie i czekali na nas… Skontaktowaliśmy się z grupą naszego „Direttore” żeby potwierdzić że wszyscy z naszej drużyny są cali i rozpoczęliśmy powrót na nocleg.